

Salvador, miasto capoeira

Capoeira to krąg ludzi – *roda*; to orkiestra grająca muzykę – bateria; to wreszcie dwóch tancerzy uprawiających między sobą grę tanecznych ciosów i uników. Wszystkim zaś kieruje mistrz – *Mestre*. Ale czy to tylko egzotyczna gra-walka. Może jednak coś więcej tkwi w tej płątaniu kolorowych ruchów i głośniejszej muzyki. Szał capoeira, który zaczął ogarniać świat, nie kończy się na barwnym fitness; na wysportowanych młodzieńcach potrafiących wykonać serię efektownych salt. Jest w tym coś więcej, kultura i historia, urzekające swoim kolorowym, głośniejszym pięknem, ale też rozpaczliwie nam potrzebna nauka, jak być z innymi, jak rozumieć innych ludzi. Capoeira ma w sobie coś takiego, co wyrzuca z człowieka gromadzone i przetrzymywane emocje. Formy i maski, którymi wiecznie się zabudowujemy, które zniekształcają i kontrolują nasze relacje ze światem, nagle tracą sens. Nie ma czasu, by myśleć o tym, czego chce ten drugi, czego ja chcę od niego. Muzyka, szybkość, gra, wyzwalają nadwątloną przez cywilizację pewność siebie. Pozostają tylko ja i człowiek, z którym tańczę. I ten szczególny rodzaj relacji, który tworzy się między nami, a który sprawia, że muszę spojrzeć w samego siebie i zadać sobie pytanie: kim jestem...

Salvador

Powietrze, które nie jest jak powietrze. Gorące, duszne i bardzo, bardzo wilgotne. Trudno oddychać. Jestem w Salvadorze. To dziwne uczucie bycia bardzo daleko od domu – jakby wyrwania, osamotnienia – przemieszane z wrażeniem, że to, co mnie otacza, to tylko jakaś kopia rzeczywistości. To trochę tak, jakby znaleźć się na oglądanej właśnie nieruchomej reklamie biura podróży. Jednak jeszcze nie do końca czuję tak bardzo rozreklamowane słowo „egzotyka”. Mam na wpół instynktowne wrażenie zawieszenia gdzieś w przestrzeni. Ale mimo to wszystko wygląda chyba normalnie, zwyczajnie. Terminal jest elegancki i czysty. Tak samo przed lotniskiem. Dużo samochodów i autokarów dobrej marki. Czekają na turystów; wypisz, wymaluj, jak z hiszpańskiego kurortu. Jest informacja, specjalny „bagażowy pan”, autobus, który co 5 min podjeżdża i zabiera rozkwilony ładunek turystów w odmęty hoteli i turystycznych atrakcji. Przyłączamy się do tej kolorowo zorganizowanej chałtury i pakujemy się do kolejnego z turystycznych busów. Ta iluzja trwa jeszcze przez chwilę, kiedy wyjeżdżamy z lotniska przepiękną aleją porośniętą po obydwu stronach palmami. Tworzą one ponad drogą długą, barwną bramę wjazdową, niczym w jakimś pałacu maharadży.

Dopiero po chwili orientuję się, że to tylko cząstka Brazylii, kolorowy papiererek, kryjący monumentalne, dzikie piękno przyrody, niewyobrażalne bogactwo pałaców i zarazem niezmierzoną biedę faveli.

Spomiędzy palm zaczynają wycierać sypiące się rudery, zabłocone podwórka, małe sklepiki zaopa-

MACIEJ ROŻALSKI

Salvador, miasto capoeira

trzone w prastare szyldy, zdecydowanie pamiętające jeszcze początki wieku XX. Tylko gdzieś tam, po wtorku, podokręcane, jakby na siłę, szyldy wystawowe nowych sklepów, kolorowe neony reklamujące piwo, papierosy i perfumy. Samochody najnowszej generacji mieszą się ze starożytnymi wehikulami napędzanymi jeszcze chyba na kociółek z węglem. Restauracje w stylu zachodniej Europy obcują z barami, których ściany zdobią białe kafle, klientela wygląda zaś jak starsze rodzeństwo ekipy *Buena Vista Social Club*.

Taki właśnie jest Salvador, miasto nędzy i bogactwa. Dawna portugalska świetność, a zarazem brud rozsypujących się budynków. Nieprzebrane piękno natury i pył szarych ulic przedmieścia. To w końcu kolebka magii *condomblé* i capoeira, a zarazem jedno z największych skupisk faveli w Brazylii.

Favele to dzielnice nędzy. Biedota żyjąca grubo poza granicą zera socjalnego. Jeden z najmroczniejszych i najbardziej rozpaczliwych problemów dzisiejszej Brazylii.

Przeróżająca, gigantyczna, szarobrudna masa. Trzęsący się twór, pełen smrodu nędzy. Wibrująca dźwiękami, wypełniona po brzegi zbieraniną ludzkich ciał, tłoczących się, walczących o skrawek miejsca do życia. Dżungla lepiatek, ruin, domków, budek z dykty, służących za trzypokojowe mieszkania. Całe hektary bezdziedzi. *Favele* mają w sobie coś z piekła, które udało się zrealizować na ziemi.

Salvador – to miejsce, gdzie brzydota i piękno tworzą przedziwne malowidło. Dadaistyczny twór. Barwną plamę poskładaną chaotycznie z tysięcy małych elementów. Podróżując przez to miasto, trzeba wyculić swój zmysł estetyczny. Trzeba się nauczyć wczuwać w ten dziejący się obraz, bo inaczej pozostaniemy poza nim, w obrębie hoteli, plaż i pięknych widoków.

My przyjechaliśmy do Salvadoru szukać capoeira. Okazało się jednak, że nie da się podać definicji, jednoznacznie określić, czym ona jest. Tak jak Salvador – capoeira ma wiele różnych twarzy. Oto kilka z nich.

Mestre Feherrinia: „To sztuka, która potrzebna jest w życiu”

Salvador jest jak bajkowa kraina. Ale bajka bardzo w stylu Andersena, piękna i przerażająca zarazem. Przypomniałem to sobie, stojąc przed starym, rozsypującym się budynkiem, którego ścian ledwie trzymają się wielkie płyty łuszczonego się tynku, a dwa małe kafflowe bary na dole otaczają ze wszystkich stron kałuże błota. Jeden ze starych dziadków-bywalców, spoczywający przy lokalowym stoliku, uśmiecha się do mnie bezzębnie i pokazuje, że capoeira, to na górze. Z okna na piętrze, dochodzi mnie dźwięk *berimbau*... (*berimbau* to najważniejszy w capoeira instrument, on kieruje całym rytuałem. Wygląda jak łuk. Na dole przywiązana jest okrągła puszką akustyczna. Do grania używa się jeszcze patyczka, kamienia i grzechotki)

[...] Capoeira w wydaniu Feherrinia i jego uczniów jest fascynująca, jest inna niż ta, którą znam z Europy. Ruchy i muzyka są teoretycznie te same, ale tu jest więcej energii, taniec jest żywszy, jakby jego korzenie wyrastały wprost spod tego budynku.

Mestre budzi zaufanie już na pierwszy rzut oka. Wysoka postawna, przystojna, sylwetka, uśmiechnięta twarz. Spod na wpół przymkniętych powiek spoglądają na mnie uważne oczy. W jego osobie daje się odczuć jakąś spokojną siłę i pewność, którą przepojone są jego ruchy.

Ja: Mestre, chciałbym wiedzieć, czym jest dla ciebie capoeira, co jest w niej takiego ważnego i niezwykłego?

Feherrinia: Dla mnie w capoeira najważniejszy jest moment. Ten punkt, w którym dostajemy sygnał od drugiego człowieka, że atakuje, wykonuje ruch. To, co muszę zrobić, to błyskawiczna odpowiedź, unik, który następnie przeradza się w kolejny atak. Sztuka jednak nie polega na tym, aby się obronić lub zaatakować. Chodzi o to, żeby swoją odpowiedzią płynnie włączyć się w nieustający ruch, jaki wytwarzacie razem ty i twój partner. Jeżeli uda się zachować płynność, tworzy się między wami porozumienie, niepowtarzalna relacja, w której przeplatają się taniec, walka, spryt. To jest właśnie gra, to jest capoeira.

Ja: Co sądzisz o nowej capoeira, tej znanej z telewizji, efektownej, dynamicznej, akrobatycznej. Jak to się ma do twojej wizji tego zjawiska oraz do tego, czym ta sztuka była kiedyś?

Feherrinia: Sądzę, że wszystko podlega zmianom, niczego się nie da zatrzymać. To samo dotyczy *capoeira*. Zupełnie inna 20 lat temu, zmienia się, ewoluuje. Są tacy, którzy uważają to za wykroczenie. Mówią, że *capoeira* zostaje wyzuta z tradycji i rytuału, a to właśnie one są jej sednem.

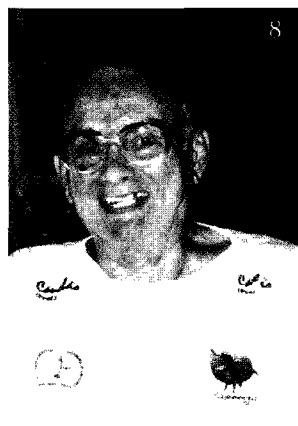
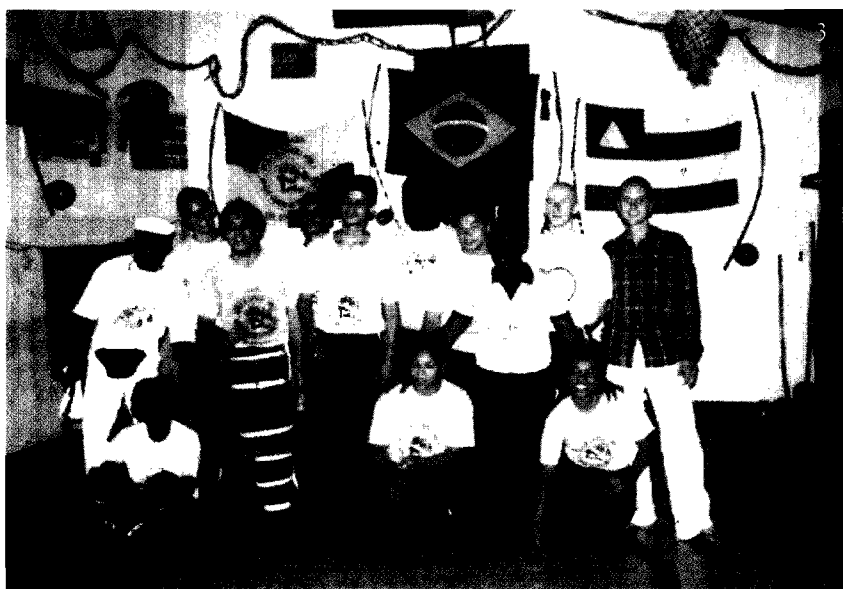
Dla mnie najważniejszy jest kontakt dwojga ludzi, to, co się między nimi odbywa. I chyba jeszcze to, że kilkoro dzieciaków nauczy się dzięki temu czegoś ciekawego, że nie wpadną w jakieś bagno.

Rzeczywiście, akrobacje dla samych akrobacji, walka dla samej walki, fascynacja swoim ciałem, to absolutnie nie jest to, o co chodzi w capoeira. Trudno podać jednoznaczną definicję, dla każdego granica będzie gdzie indziej. Najważniejsze, aby ludzie nawiązywali ze sobą w grze relację, o której mówiłem. To sztuka, która potrzebna jest w życiu.

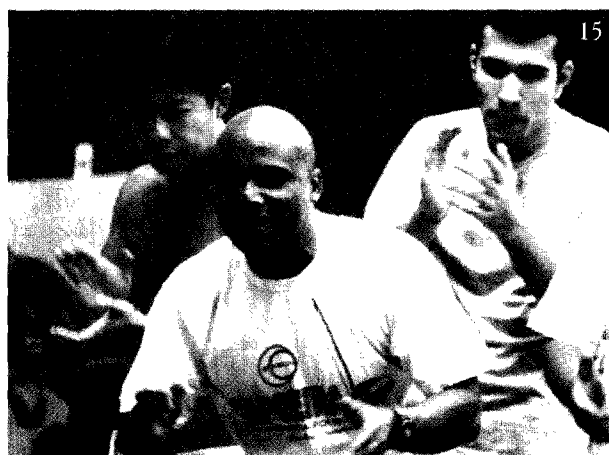
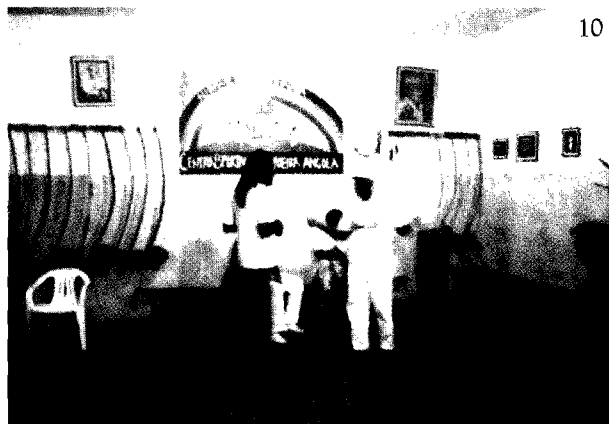
Mestre Falcao: „Szanowanie różnic między ludźmi, to jest dla mnie najważniejsze”

Mestre Falcao jest szczupłym i niskim człowiekiem, lat około 40, ma lekko siwiejące włosy, delikatną twarz i spokojne spojrzenie. Z rozbijającym uśmiechem prowadzi mały samochodzik, którym mkniemy na festiwal capoeira, odbywający się tego dnia w Salvadorze. Mestre prowadzi tam warsztaty, ma to być – zdaje się – wielka impreza, 80 szkół capoeira ma pomieścić się w jednym budynku i zaprezentować swoje umiejętności... Wszystko idzie świetnie, ale jest jeden problem: chyba nie do końca wiemy, jak dotrzeć na miejsce. To zabawne, ale dostrzegam niejaką zależność między byciem mistrzem capoeira a prowadzeniem. Im większy mistrz, tym gorszy kierowca. No więc walczymy, pchając się przez maleńkie, pokręcone uliczki Salvadoru. Mijamy kamienice, rudery, bloki mieszkalne, wszystko to razem wymieszane bez ładu i składu. Tabuny ludzi, tabuny samochodów – i wszystko to przetacza się leniwie wokół nas, jednych z wielu wiecznie spóźnionych i nigdzie nie spieszących się uczestników ruchu drogowego miasta Salvador. W ogóle są to dwie charakterystyczne, tutejsze cechy miejskiej aglomeracji. Po pierwsze, wszystko jest zawsze spóźnione. Zaczynając od pojedynczych jednostek, kończąc na dużych skupiskach ludzi, nikt nigdy nie jest na czas. Po drugie, nikomu się nie śpieszy, co jest dość dziwne, zważywszy na fakt pierwszy. Ruch samochodowy wygląda jak przelewająca się powoli gęsta ciecz. Nie przekracza się 60 km/godz., ale też raczej się nie hamuje...

[...] zaskoczył mnie temat warsztatów, które prowadził Falcao: odczuwanie radości dzięki capoeira. Uczestnikami były małe dzieci, pozbierane z wielu szkół przybyłych na festiwal, oraz – ku mojemu zaskoczeniu – także grupa dzieci z zespołem Dawna. Okazuje się, że są tu dzięki pewnej rządowej fundacji, która zajmuje się wyciąganiem z *faveli* tych najbiedniejszych, najsłabszych. Jednak te dzieci nie tylko dostają opiekę, celem programu jest także uczenie porozumiewania się i życia z innymi ludźmi. Prawdę powiedziawszy, od razu przygotowałem się na sytuację, w której mocno skrzępowani „normalni” opiekunowie będą prezentować z tolerancyjnym uśmiechem wyuczone osiągnięcia swoich podopiecznych „specjalnej troski”. Natomiast „normalna” publiczność ze zrozumieniem będzie oglądać ten smutny show i litować się nad losem tych „biedactw”. Okazało się jednak, że zarówno Falcao, opiekunowie, jak i grupa „biednych maleństw”, mają



1. Mestre Nenel (po środku na ławce) syn Mestre Bimba twórcy jednej z odmian dzisiejszej Capoeira i jego uczniowie.
2. Mestre Falcao rozpoczyna swoje warsztaty Capoeira dla małych dzieci.
3. Szkoła Mestre Curio (trzeci od prawej) jedna z najstarszych w Brazylii. Pozwolono nam zrobić tylko to jedno zdjęcie.
4. Salto, efektowna część Capoeira Regional
5. Roda grupy Beribazu w mieście Brasilia.
6. Zajęcia w grupie Beribazu.
7. Mestre Joao Piceno. Jest prawdopodobnie najstarszym wciąż tańczącym Capoeiristas na świecie
8. Mestre Decanio. Mówi o oświeceniu i radości w Capoeira.



9. Bohaterscy uczestnicy roda prowadzonej przez Mestre Falcao
10. Sala treningowa w szkole Joao Pequeno. Na tej wytartej podłodze wychowało się kilka pokoleń Capoeiristas
11. Dzieci bawiące się w przerwie warsztatów Mestre Falcao
12. Zajęcia z Mestre Falcao
13. Paolo jeden z członków grupy Beribazu.
14. Tancerze czekają na grę pod brimbau (głównym instrumentem kierującym całą Roda).
15. Andre Reis instruktor z grupy Beribazu. Pierwszy Brazylijczyk, który rozpoczął nauczanie Capoeira w Polsce.
16. Roda w grupie Beribazu. Fot. 3, 7, 8, 14 - Anna Sienicka. Fot. 6 - Szczepan Rożański. Pozostałe zdjęcia autorstwa Macieja Rożańskiego



inne plany. Miało być o radości i było o radości. Mestre kilkoma prostymi zabawami zintegrował całe towarzystwo. Zupełnie nie przejmując się powagą swojej osoby, a także tym, czy „biedactwa” dadzą radę, rozpoczął skandalizującą naukę wywracania kolegi przez kolegę, po czym rzucania się „wszyscy razem na siebie”. Odbiło się też bieganie z wrzaskiem dookoła sali, próby nieruchomego baletu oraz sporadyczne ataki na szyję mistrza. Całość zakończyła się godziną *roda*, uczestników było bez liku, zrobił się totalny bałagan. Zupełnie nie wiedziałem w pewnym momencie, kto jest „bidulkiem”, a kto opiekunem, kto się uśmiecha z pobjaźaniem, a kto ryczy ze śmiechu. Co ważniejsze, kogokolwiek przestało to obchodzić, najważniejsza była capoeira.

Ja: Mestre, co jest dla ciebie najważniejsze, co powoduje, że chcesz i potrafisz dawać tyle radości i zabawy poprzez capoeira.

Falcao: Szanowanie różnic między ludźmi, to jest dla mnie najważniejsze. To obowiązuje także w capoeira. Bez przerwy trzeba pamiętać o innych, o tym aby gra była dialogiem. Tylko doceniając nawet tego najmniejszego, jesteśmy ludźmi

Ja: Czym jest capoeira dla ciebie?

Falcao: Capoeira to sposób życia, to filozofia. Wchodzi w twoje życie i staje się jego częścią. Kiedy zaczynasz grać capoeira, wnikasz w samego siebie, poznajesz siebie i wchodzisz na drogę rozwoju i przemiany. Wielkość tej sztuki polega właśnie na tym, że nie da się rozwijać tylko ciała, poprzez ciało sięgasz do duszy i umysłu. Ciało i dusza stanowią nierozdzielalną jedność. Capoeira pozwala przyglądać się tej jedności, sprawia, że nasze życie jest prawdziwsze i bardziej radosne.

Niestety, cywilizacja zachodnioeuropejska od dawna dowodzi, że dusza i ciało to dwa obce sobie twory, że istnieje pęknięcie w wewnętrznej kondycji człowieka. Ślady tej idei wkradają się wszędzie, także do capoeira. Ludzie zapominają więc o rytuale tej sztuki, o zasadach, o tym, aby uważać na innych. Fascynują się swoją siłą, wyższością. Myślą tylko i wyłącznie o sobie i niszczą przez to płynność, jedność z innymi. Niezauważalnie przestają być także zgodni z samymi sobą.

W nowej capoeira, tak jak zresztą na wielu innych płaszczyznach naszego życia, coraz częściej zaczynają liczyć się tylko siła i silni.

Mestre Nenel: „... ćwicząc capoeira, każdy odkrywa swoją prawdę”

Mestre Nenel wygląda jak gwiazda amerykańskiej sceny hip-hop. Jest potężnym, czarnym mężczyzną, nosi długie dredy i wełniany beret. Marynarska koszulka ciasno opinająca jego zwalisty tors, duże okulary przeciwsłoneczne, białe mokasy, wszystko to sprawia, że Nenel miałby swobodny wstęp do studia nagra-

niowego MTV. Jednak jego spokojny ton głosu i czujne oczy przypominają od razu, że jest on jednym z najbardziej znanych w Salvadorze mistrzów capoeira, a wreszcie synem legendarnego Mestre Bimba.

Ja: Nenel, co możesz powiedzieć mi o swoim ojcu i o tym, co stworzył.

Nenel: Bimba był człowiekiem prawdopodobnie odpowiadającym za obecny stan capoeira. To on w latach 30. doszedł do wniosku, że capoeira oderwała się od swoich korzeni. Twierdził, że za bardzo pogryzła się w kulturowej manifestacji. Według niego zapomniano również o tym, że jest to także walka. Stworzył więc swoją wersję tej sztuki, zdynamizował ją, opracował tzw. sekwencje Bimba, dodał użycie rąk i ciosy oparte na przemocy. Początkowo ta capoeira, nazwana Regional, niewiele się różniła od tego, co uprawiali inni mistrzowie. Bimba stwierdził, że przywrócił capoeira jej dawny stan, gdy służyła ona po prostu walce o przeżycie. Ale już jego uczniowie zaczęli dalszą modyfikację. Wraz z wejściem Regional na uniwersytety, opracowywano teorię nauczania capoeira. Zaczęła się ona „usportawiać” i „wygładzać”. Teraz tańczy się w wyższej pozycji. Ciosy są szybsze i wyraźniej zaznaczane. Natomiast sama gra zaczyna przypominać dynamiczny taniec współczesny. W sferze duchowej Regional powoli „opuszcza ulice”, czyli oddala się od swojego miejsca narodzin. Co za tym idzie, przestaje być powoli domeną na wpół magiczną osadzoną blisko *condomblé* (religii naszych przodków stworzonej z wierzeń afrykańskich przywiezionych wraz z czarnymi niewolnikami), pograżoną głęboko w tradycji i kulturze. Istnieją więc głębokie różnice, pomiędzy Regional a Angolą – drugą odmianą capoeira, która miała zachować dawny styl, a którą stworzył inny Mestre – Pastinha. Angola miała być ochroną dawnych rytuałów, dawnego sposobu życia. Są to więc praktycznie rzecz biorąc, dwa zupełnie różne światy. Nie twierdzą, że lepsze albo gorsze, po prostu inne. Niektórzy próbują je wartościować, ale rodzą się z tego tylko niedobre konflikty.

Ja: A jak ty, jako syn Bimba, ale także Mestre, odnosisz się do tego wszystkiego? Jaka jest twoja wizja.

Nenel: Capoeira jest jedną z dróg, które człowiek może obrać idąc przez życie. Kiedy już jednak wkracza na nią, staje się ona całą jego egzystencją. Myślę, że można powiedzieć, że capoeira jest sztuką dobrego życia. Tak właśnie uważał mój ojciec. Capoeira była dla niego, po pierwsze, samoobroną, po drugie, dobrą drogą życia. Ale nie jest tak, że capoeira jest tylko tym albo tamtym, że istnieje tylko jedna słuszna droga. Ja wybrałem drogę Bimba i staram się go naśladować. Dla kogoś innego capoeira może być walką, medytacją, tańcem, grą lub wszystkim naraz.

Ja: Ale czymś chyba jest w szczególności? Muszą przecież istnieć jakieś podstawowe zasady, które bez względu na różnice w stylu tworzą coś, co się nazywa capoeira.

Nenel: Rzeczywiście, ta sztuka ma swoje fundamenty, prawa, które ją konstytuują, a których łamać nie można. W przeciwnym razie przestaje to być capoeira. To, co się dzieje teraz, jest niejednokrotnie właśnie wykraczaniem poza te prawa. Ewolucja jest naturalna i zmian nie można zatrzymać. Ale capoeira zaczyna przypominać miejscami jakiś sport olimpijski, zostaje obdarta z rytuału. A to właśnie on jest jedną z rzeczy, które tworzą tę sztukę. Dzięki zasadom panującym w *roda* (czyli kole ludzi, w którym odbywa się gra), znajomości muzyki, szacunku dla ludzi tworzy się to coś, co przyciąga jak magnes. Drugą niezbędną rzeczą jest *ginga*, czyli podstawowy, zgodny z rytmem krok, na którym opiera się cały taniec. I nie chodzi mi o poruszanie się w odpowiedni sposób. *Ginga* musi być w każdym wykonywanym ruchu, jest swoistą rytmiczną bazą, na której opiera się cała capoeira. *Ginga* buduje rytm i tworzy płynność gry.

To wszystko z kolei, wzięte w całość umożliwia zaistnienie tego, co w capoeira jest tak niesłychanie pociągające. Tworzy się jakby cielesna konwersacja między ludźmi, nawiązuje się relacja, która zespala dwoje w jedność. Taniec, muzyka, śpiew, emocje wywołane przez bliski i intensywny kontakt z drugą osobą, to wszystko działa na nas jednocześnie, dotyka naszej duszy. Capoeira jest innym, magicznym światem.

Częste są obecnie walki o wpływ pomiędzy szkołami. Tendencja redukcji capoeira do egzotycznej walki lub fitness. Albo też roszczenie sobie prawa do prawdy obiektywnej o tej sztuce-walce. Ja nie będę oceniać, co jest złe, a co jest dobre, tym bardziej że sam nie jestem doskonały. Ale ćwicząc capoeira każdy odkrywa swoją prawdę.

Mestre Curio: „... trzeba zagłębić się w rytuał, a także w powolną, pełną skupienia grę z drugim człowiekiem...”

Pelorinho, niegdyś ociekające złotem centrum portugalskiego Salvadoru, obecnie turystyczna starówka. To miejsce robi rzeczywiście wrażenie, kolorowe kamienice, stare kościoły, tysiące straganików i sklepików wyladowanych gadżetami związanymi z capoeira. Wokół przetaczają się tłumy turystów, owładniętych żądzą zakupu sobie kolorowej pamiątki z egzotycznych wakacji, a najlepiej przeżycia jeszcze jakiejś bajecznej przygody. Za nimi następny tłum, tym razem miejscowych, próbujących z rozpaczliwym uśmiechem zarobić jakiegokolwiek pieniądza. Jest coś poniżającego w tym układzie. Z jednej strony – turyści, próbują nie zauważać wszechobecnej nędzy, chowając się w swych hotelach i płatnych wycieczkach. Z drugiej – ludzie, którzy starają się zarabiać na drobnej turystyce, którzy nauczyli się jęczeć i przymilać dla kilku groszy. Całe towarzystwo kryje się za wzajemnym uśmiechaniem, odalając od siebie widmo biedы.

Próbując uciec od jazgotu głównych turystycznych placów, odkrywamy pomniejsze uliczki. Tu jest trochę luźniej, mniej ludzi, a mnóstwo zaułków, małych sklepików i nieśmiertelnych kaflowych barów.

W pewnym momencie nasza znajoma Clarisa pokazuje nam jakiś stary, ledwo widoczny z ulicy szyld. Na kawałku drewna, którego sam bym nie zauważył, widnieje napis: *Escola de Capoeira*. Budynek wygląda na stary i całkowicie wtapia się w rząd różnokolorowych kamienic szturmowanych przez rozszalałych turystów całą masą nowoczesnego sprzętu fotograficznego. W panującym w środku półmroku można wyczuć jakieś odmienne od ulicznego jazgotu nieruchome dostojenie. Powyższone instrumenty muzyczne, wyblakłe flagi, maski – wszystko to buduje jakiś nastrój oddalenia, zatrzymania w czasie. Sala widoczna przez pootwierane na parterze drzwi przypomina bardziej muzeum niż jeden z kolorowych okolicznych sklepików. W całość wnętrza doskonale wtapia się siedzące po przeciwnej stronie sali barwne towarzystwo.

Od razu czuć zapach, w którym miesza się odrobina stęchlizny, kurz i stare drewno, coś jakby strych zastawiony starymi przedmiotami sprzed wieku. Za wielkim drewnianym biurkiem siedzi szczupła, młoda Murzynka, obok niej czarny mężczyzna, w wieku ok. 30 lat. Przedziwnie dopiero prezentuje się trzecia z siedzących osób. Jest to mężczyzna, należący do tego rodzaju ludzi, których wiek trudno jest określić, gdzieś pomiędzy 40 a 70 lat. Jest on właścicielem dużego brzucha, oraz całej kolekcji biżuterii, poczynając od łańcuszków na szyi, a skończywszy na wielkich złotych sygnetach. Ubranie w tonie eleganta z lat 70. Rozszerzane spodnie w kant, koszula z dużym kołnierzem. Kapelusz à la lata 20. Całości dopełniają czarne błyszczące mokasyny. Zdecydowanie jedna z najdziwniej wyglądających person jakie udało mi się spotkać w tym i tak niezwykłym mieście. Ale nie to uderza mnie najbardziej. Najbardziej frapująca jest jego twarz – duża, pełna siły i jakiejś delikatnej, raz to przebiegłej, raz dobrotliwej złośliwości. Nie zdziwiło mnie zbytnio, gdy dowiedziałem się, że jest to szkoła Capoeira Angola, a rubaszny mężczyzna w kapeluszu to Mestre Curio, jeden z uczniów legendarnego Pastinha, zaciekle wróg wszelkich nowoczesnych przemian w capoeira...

Siedzimy na piętrze tego przedziwnego budynku, otaczają nas stare sprzęty, pożółkłe fotografie. Za oknem pozostał jazgot Pelorinio, ale tu, gdzie siedzimy, wrzawa jest jeszcze większa. Mestre Curio zgodził się na rozmowę o capoeira, ale bardziej przypomina to monolog przemierzany z awanturą o to, że naiwnie zaczęliśmy rozmowę od pytań o Capoeira Regional. Trzeba powiedzieć, że Mestre prawie przez cały czas krzyczy, rzuca się, zdejmując i zakłada kapelusz, generalnie jest mocno poruszony, a to, co mówi, brzmi trochę jak doniesienia z frontu.

Curio: Nie ma dwóch capoeira, jest tylko Angola! To, co nazywane jest Regional, to jakieś nowoczesne

ćwiczenia fitness, nie ma w tym duchowości i tradycji prawdziwej capoeira! Organizowane w fitnessklubach zajęcia ruchowe, bo tylko tak to mogę nazwać, nie mają nic wspólnego z rytuałem, rytmem i obrzędkiem – które tworzą samą strukturę, rdzeń capoeira.

Ja: Ale czy nie jest możliwe współistnienie Regional i Angola? Rozwój i popularność tej pierwszej jest faktem, dlaczego więc sprzeciwiać się postępowi i zmianom? Co szkodzi uszanowanie tego po prostu jako innej capoeira?

Curio: Uważam, że szkodzi, i to bardzo. Ludzie słysząc o capoeira, niejednokrotnie utożsamiają całe zjawisko z tym widowiskowym baletem, przyjmują formę zewnętrzną i automatycznie pomijają sferę duchową i wewnętrzną. Aby zrozumieć i poczuć capoeira, trzeba poświęcić wiele pracy i uwagi nie tylko swojemu ciału i technice gry, ale przede wszystkim temu, co się dzieje w nas w środku, trzeba zagłębić się w rytuał, a także w powolną, pełną skupienia grę z drugim człowiekiem, a nie skocznie i szybko podskakiwać wokół siebie. Poza tym nie wystarczy mówić o filozofii capoeira, trzeba ją poczuć całym sobą. To da się zrealizować tylko w *roda* traktowanej w sposób magiczny, z poszanowaniem zasad, szacunkiem dla każdego członka *roda*, w miejscu do tego przeznaczonym. W Regional, z *roda* została tylko zasada, że ma to być koło, natomiast miejscem gry jest zwykle sala gimnastyczna lub klub fitness. Nie wyobrażam sobie skupienia w takim miejscu.

To pierwsze, co mam do zarzucenia Regional, drugą rzeczą jest natomiast tworzenie euforii w *roda*. Nie byłoby w tym nic złego, ale ciągle podkręcanie za pomocą muzyki, klaskania i szybkiego rytmu dużych pokładów emocji niszczy kontakt i porozumienie, niszczy jakość tańca, czyniąc go tylko szybką wymianą ciosów.

Wreszcie ostatnie i najważniejsze jest wprowadzenie do Regional agresji. Capoeira nie może być agresywna. Nie ma w niej miejsca na przemoc. Nie może być tak, że brutalna siła zastępuje miejsce tzw. *malandragem* (sprytu), który kształtował jakość i styl grania! – Ostatnie słowa Curio wypowiadał znowu podniesionym głosem...

Duszną, małą salą wielkiego, drewnianego budynku, jednego z wielu starych zabudowań Pelorinho. Całe pomieszczenie przesycone jest zapachem kadzidła, a nieliczne światła i wieczorny mrok za oknami tworzą atmosferę mistyczną, nierealną. Na ścianach powieszane są instrumenty, flagi, zdjęcia Mestre Pastinha i innych, którzy prawdopodobnie dawno już odeszli z tego świata. Cała podłoga wymalowana jest kabalistycznymi symbolami rozłożonymi na planie koła, *rody*. Przy wejściu jest kilka krzeseł dla widzów, a po drugiej stronie sali podłużna ławeczka dla *bateria*. Tak wygląda szkoła Mestre Curio, to tu gra się capoeira Angola.

Dzisiejsza *roda* zaczyna się pod wieczór i będzie trwała jakieś pół nocy. Większość ludzi już jest, wszy-

scy ubrani w czarne spodnie w kant i żółte koszule. Ten strój, obowiązujący na wszystkich spotkaniach, został wymyślony przez Pastinha na cześć jego ulubionej drużyny futbolowej. Jest też i sam Curio, on też zamienił swój ryszunek i biżuterię na strój „klubowy”. Powoli *roda* rozpoczyna się.

Capoeira jest u Curio rytuałem, oni czczą muzykę, nie może być tak, że ktoś przychodzi i łamie zasady. Wszystko jest takie jakie było prawdopodobnie 100 lat temu.

Najpierw, przez pół godziny grają tylko instrumenty – ludzie z *bateria* stoją w kole i grają zwróceniem do siebie twarzami. Potem Mestre obchodzi całą salę z dyjącym kociołkiem, w którym tli się kadzidło. Ma to służyć pobłogosławieniu uczestników *roda*. Dopiero wtedy można rozpocząć grę...

Mistrz Curio pochyla się przed *berimbau*. Jego wielką, bezzębną twarz wykrzywia złośliwy radosny uśmiech, całe jego ciało drga, jakby każda kończyna prowadziła swoje własne, fascynujące życie. Za chwilę nadchodzi sygnał, żeby zacząć i jego wielki brzuch razem z całą resztą rusza w przedziwny, pogięty taniec pełen pantomimy, gagów, złośliwości i rubasznych podskoków. Raz zatacza się w szaleńczym pijackim tempie, raz popada w pełne płynności i tanecznego piękna powolne ruchy, podcina, rozpycha się za pomocą pośladków, biega po całej sali. Jego gra aż kipi życiem, energią, ale i symboliką, ciągłą autoironią i autorefleksją. Każda kolejna gra jest jakimś dziwnym spontanicznym, brzydkim i groteskowym teatrem. Tancerze skaczą, biegają, pełzają nawet dookoła siebie, wszystko po to, aby zmylić się nawzajem, oszukać. Ale nie tylko kpina jest w tym, co robią Curio i inni, nie tylko taniec. Muzyka i ruch zmuszają do jakiegoś ponadwzrostnego dialogu, autentyczności. Angola staje się sposobem wyrażenia swoich emocji – ubraniem w symbole przeżyć wielokrotnie niemożliwych do wyrażenia.

Mestre Decanio: „Tylko poprzez głębokie przeżycie (...) mamy szansę na osiągnięcie oświecenia w Capoeira”

Na Boga, dlaczego właśnie tutaj, czy mądrość nie może mieszkać w pałacach, albo chociaż w prywatnym mieszkaniu? Jedziemy po wertepach chyba tysięcznej dzikiej ulicy, która prawdopodobnie i tak zakończy się następnym ślepym zaułkiem. Już blisko dwie godziny przedzieramy się przez *favelę* Salvadoru i powoli zaczynam tracić nadzieję, że dotrzemy do celu naszej podróży. Nagle wyjeżdżamy na otwartą przestrzeń. Plaża, choć niesłychanie brudna, stanowi naturalny koniec *faveli*. Jest tu lepiej, piękniej w porównaniu z labiryntem chaosu, który zostawiamy za sobą. Tu kończy się miasto, kończy się dzielnica nędzy. Mam wrażenie, jakby ten zakątek wolnej przestrzeni, wciśnięty pomiędzy lepiankowego potwora a majaczącą gdzieś w oddali fabrykę, był mistyczną samotnią, do której dotarła nasza wyprawa. Bo to tu mieszka Mestre Decanio (89

lat), najstarszy żyjący uczeń Bimba, niekwestionowana legenda i autorytet świata capoeira. Myślę sobie, stojąc przed furtką jego malutkiego, parterowego domku, że piekielnie trudno się tu dostać, ale Decanio podobno wie najwięcej i chyba trzeba było tu przyjechać. Czekamy przez chwilę, aż szczupły starszy pan wyjdzie z budynku i machając nam ręką na przywitanie, otworzy pogiętą metalową furtkę wejściową...

Mestre jest już starym człowiekiem, jego dom jest także stary, wypełniony po brzegi całą masą przeróżnych sprzętów, a także pięcioma bardzo aktywnymi psami. Wnętrze wygląda jak rupieciarnia, zastawiona gratami z przeszłości. Decanio jest szczupły, średniego wzrostu, ma zupełnie siwą czuprynę i, co jest tu rzadkością, ma białą skórę. Jednak on sam bynajmniej nie zachowuje się jak przystało na 89 lat. Przez całe pięć godzin, podczas których siedzimy i rozmawiamy o capoeira, Mestre ciągle gdzieś biega, wyraźnie nie może usiedzieć w miejscu. Widać, że mimo swych lat prowadzi bardzo aktywny tryb życia, ciągle odbiera telefony, pokazuje nam na komputerze lub w stosach papierów wciąż nowe informacje lub jakieś grafiki. Jednak to, co mówi jest jasne i bardzo klarowne. Jego myśli, są pełne pasji, a zarazem spokojnej i przemyślanej logiki.

Ja: Mestre, na początek spytam o to samo, o co pytam wszystkich. Mianowicie – czym jest capoeira?

Decanio: Dzisiejsza capoeira zawiera, jak pewnie wiecie dwa style, Angola i Regional.

Obecnie Angola to prawie medytacja, spokojna, nierzucająca się w oczy, mocno tkwi w korzeniach, tradycji i kulturze Brazylii. Można by jej zarzucić, że w ogóle nie jest już walką, że przestała nią być na rzecz kulturowej i artystycznej manifestacji.

Natomiast Regional jest zupełnie inna. Bardziej sportowa, rozwijała się głównie na uniwersytetach i w szkołach. Ujęta w pewną strukturę nauczania, posiada swoją warstwę techniczną, którą da się wyklądać jako teorię. Lecz inny jest przede wszystkim rodzaj energii, tkwiący u podstaw obydwu odmian. Dzisiejsze Regional bazuje na sporej dawce euforii i radości, które – niestety – czasami przeradzają się w agresję. Nie będę niczego krytykował, oceniał Angola albo Regional, nie ma rzeczy całkowicie złych albo całkowicie dobrych.

Poprzestanę na tym, że ta pierwsza Regional, moja Regional, której miałem zaszczyt uczyć się od Bimba, jest już właściwie martwa, umarła wraz z nim. Więc to nie o niej będzie tu mowa.

Ja: Jednak capoeira jest ciągle fenomenem. Podbija serca i umysły ludzi na całym świecie. Można wręcz powiedzieć, że mamy do czynienia z jakąś szaleńczą modą na capoeira właśnie.

Decanio: Tak, to rzeczywiście fascynujące, jak capoeira działa na ludzi, jak pobudza emocje, zmusza do myślenia i niejednokrotnie zmiany poglądów na życie.

Jako lekarz próbuję w mej pracy zajmować się wpływem muzyki i capoeira na ludzki mózg i ciało, a także

związkami pomiędzy *condomblé* a capoeira. Uważam, że jest to absolutny ewenement, a jego tajemnica kryje się w jakimś magicznym sprzęgnięciu muzyki, śpiewu, ruchu, rytuału. Jest tym wszystkim, podanym w takiej mieszance, która potrafi sięgnąć samej głębi, istoty człowieka i poruszyć ją.

Ja: No właśnie, czy dałoby się rozebrać na części pierwsze, tę przedziwną mieszankę, odkopać korzenie magii, która czyni Capoeira tak żywą i fascynującą?-

Decanio: Wierzę głęboko, że to co najpiękniejsze w Capoeira to ta kolorowa tętniąca życiem kompilacja, to ciągły ruch muzyki, sztuki, tańca. Te rzeczy są integralnie połączone ze sobą. Towarzyszą człowiekowi od zawsze. Składają się na podstawy tworzące naszą kulturę i są nam potrzebne niczym woda czy tlen. Wszystko to natomiast, w idealnej mieszance daje capoeira. Myślę, że tu tkwi właśnie sekret jej olbrzymiej popularności.

Aby jednak zrozumieć capoeira, trzeba poznać jej korzenie, rozwój, aspekt kulturowo-społeczny, w którym się tworzyła. Zaczniemy więc właśnie od tego. Co prawda, jest wiele teorii co do początków tej sztuki, ale ta, którą tu przedstawię, wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

Capoeira zaczęła się kształtować w dokach, brazylijskich portów, kilkaset lat temu, za panowania Portugalczyków na tych ziemiach. W portach pracowali afrykańscy niewolnicy. Kiedy był przyływ, przez sześć godzin nie można było rozpakowywać towaru, więc pojawiał się czas wolny...

Toteż czarni niewolnicy, mając tych kilka godzin wolnego, zaczęli uprawiać coś w rodzaju gry, zabawy, kulturowej manifestacji (sięgającej jeszcze czasów Afryki), a wreszcie i walki. Myślę sobie, że gdzie jest dwóch mężczyzn, tam zawsze pojawi się potrzeba współzawodnictwa.

Ciekawą cechą tych spotkań było to, iż raczej nie używano w stosunku do siebie przemocy. Gdyby ci ludzie zadawali sobie ciosy, musieliby potem pracować za dwóch. Toteż nie dotykano się podczas gry, przemoc zastępował natomiast spryt (*malandragem*), wygrywał ten, kto potrafił przechytrzyć swojego przeciwnika. Nawet w późniejszym okresie, kiedy zaczęto zadawać sobie rany, *malandragem* stało się integralną częścią capoeira.

Ja: Ale, skąd bierze się w tej sztuce tyle pasji, tyle radości, dlaczego działa na ludzi tak hipnotycznie?

Decanio: Innym charakterystycznym rysem był związek capoeira z *condomblé*, religią powstałą na bazie wierzeń przywiezionych do Ameryki Południowej przez niewolników z Afryki. Podobieństwa widać od razu, choćby pomiędzy podstawowym krokiem capoeira (*ginga*) a hipnotycznym tańcem stanowiącym część obrzędów *Condomblé*.

Sądzę, że to, co najważniejsze, sztuka walki wzięła od religii w sferze duchowej. Wspólne korzenie tkwią

w specyficznym, pobudzającym do tańca rytmie i podobnej funkcji muzyki. Słyszymy muzykę i zespalamy się z nią poprzez pierwotny rytm zawarty w *ginga*. To zjednoczenie się z rytmem w jakiś sposób wyzwala, powoduje, że maski, których używamy na co dzień, dla ukrycia swoich emocji, tracą sens. Muzyka pełni funkcję oczyszczającą i wyzwalającą najgłębsze, szczerze emocje drżące w człowieku. Tańcząc, niejako jesteśmy zmuszeni stanąć przed samym sobą, dokonać introspekcji nas samych. W *roda* nie ma czasu na rozmyślanie nad następnym krokiem, wszystko inne niż spontaniczność wybija z rytmu i niszczy grę. To chyba ta nietrywialna autentyczność, to autoodniesienie mimo, że do końca nieuświadomione, jest tak pociągające.

Ja: Dlaczego?

Decanio: Bo ten moment autorefleksji, emocjonalnego wczucia się w swoją tożsamość, jest rozpaczliwie potrzebny do życia każdej istocie ludzkiej. Co pewien czas musimy wyrzucać naszą wewnętrzność na zewnątrz, aby nie zginęła ona pod skorupą codzienności. Myślę, że dlatego taniec i muzyka są z nami od początku istnienia ludzkości.

To „oglądanie własnej duszy”, rytualny trans wyzwalany przez taniec, to właśnie jest mądrość *condomblé*. Trzeba jednak zrozumieć, że nie jest to intelektualne poznanie, na modłę europejską. Tu chodzi o mądrość płynącą z emocji, odczuwania siebie samego jako autonomicznej jednostki wobec reszty świata. Lecz, jeszcze raz: nie będzie to doświadczenie przemyślane i stopniowo wymyślane. To, czego doświadczamy, jest spontaniczne, pierwotne i emocjonalne. To chyba jest bardzo ważne, że refleksja jest wtórna wobec przeżywania. Myślenie jest tu raczej ponownym czerpaniem radości z odbytego doświadczenia emocjonalnego, i to ono niejako kształtuje osobowość, zarówno uprawiającego capoeira jak i tancerzy *condomblé*. Tak więc walka czerpie tutaj z mądrości religijnej, duchowej, dlatego już od pierwszego momentu zetknięcia się z nią jest tak emocjonujące.

Ja: Ale capoeira nie kończy się chyba na indywidualnym doświadczaniu nas samych, gram przecież z partnerem, a dookoła przebywa mnóstwo ludzi, którzy tworzą *roda*.

Decanio: Oczywiście, to ważne, bo capoeira nie kończy się przecież na pojedynczej osobie. Gdyby to na tym tylko polegało, gdyby całe doświadczenie ograniczało się tylko do nas samych, capoeira byłaby prostą drogą do specyficznego narcyzmu. Człowiek uczony odczuwania radości z kontaktu ze swoimi emocjami, uczony świadomego odczuwania ciała i ducha, pogrążyłby się prawdopodobnie w samozadowoleniu i ciągłej autoprezentacji siebie sobie i reszcie świata.

Swoją drogą, tak dzieje się dosyć często, gdy młodzi ludzie zafascynowani swoim ciałem, szybkością i sprawnością pogrążają się w samouwieśnieniu, perfekcji ruchów i akrobatyce. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby każdy z nas żył sam w swoim prywatnym świecie, bez kontaktu z innymi ludźmi. Wtedy byłibyśmy kimś na kształt bogów, każdy w swoim świecie i każdy przeświadczony o swojej doskonałości.

Okazuje się jednak, że sami jesteśmy niczym. Stajemy się ludźmi dopiero, jeśli posiadamy kulturę, a ona wyłania się w kontakcie z innymi. Kultura to produkt naszej relacji ze światem zewnętrznym, ponownym uprzedmiotowieniem związku podmiotu z przedmiotem, Ja i świata.

Capoeira będzie więc zarówno medytacją, jak i kulturą. Medytacją będzie jako zagłębianie się w siebie, indywidualne odkrywanie swojego świata emocji i przeżyć wewnętrznych, co można by porównać do buddyjskiego *satori* (najwyższego stopnia zagłębiania się w siebie, zatopienia w sobie, a przez to zjednoczenia z całym światem). Ale zarazem capoeira jest kontaktem z drugim, przymusem wyjścia z siebie i ustosunkowania się do drugiego.

I tu zaczyna się prawdziwa przemiana, tu zaczynamy poprzez grę wytwarzać kulturę. Celem capoeira jest zespolenie się z partnerem w grze. Wszystkie ruchy powinny mieć swój cel, brać swój początek w tym, co robi druga osoba, wzajemnie, doskonale, płynnie się przeplatać. Sukcesem prawdziwej gry powinno być osiągnięcie jedności z drugą osobą, a nie pokonanie jej.

Oczywiście, że w normalnej grze koniec końców chodzi także o to, aby wygrać, aby być sprytniejszym. Ale ja mówię o generalnym nastawieniu i całościowym sposobie uprawiania capoeira.

Tylko poprzez głębokie przeżycie siebie z jednej strony, a z drugiej – umiejętność płynnego dostosowania się, zespolenia, mamy szansę osiągnięcia oświecenia w capoeira.

Mestre João Pequeno – najstarszy żyjący mistrz (86 lat), czynnie uprawiający capoeira

João Pequeno: Najważniejszą rzeczą na świecie jest miłość. Ona kreuje nas i buduje nasz świat. Tak samo jest z capoeira, jeżeli nie kochamy świata, ludzi, ona nigdy nie zapuści korzeni i nie wyrośnie w nas...